

Agnieszka Tarnowska: Wychodząc z domu. O „Życiu zewnętrznym” Annie Ernaux

Największym wyzwaniem stało się dla mnie znalezienie odpowiedzi na pytanie, gdzie wypada pisać recenzję książki o życiu zewnętrznym. Wszak, nie w domu, nie przy biurku, nie w sterylnej bibliotece, czy – dla wyrównania – nie w łóżku, pod kołdrą, jak miewam w zwyczaju. Książka o życiu zewnętrznym, to książka, której recenzję pisać trzeba – a jakże – na zewnątrz. Choć może to tylko moje nadmierne przywiązanie do poszukiwania zgodności i oddawania ducha rzeczy.

Widząc po raz pierwszy, na wystawie w krakowskiej księgarni „Pod Globusem” egzemplarz *Życia zewnętrznego* Annie Ernaux, odczułam, że będzie to książka dobrze wpisująca się w moje obecne poszukiwania, zainteresowania, a nawet coś, co określiłabym mianem stylu życia. Poszukiwanie treści językowej, swoistego domu ze słów dla tych wszystkich miejsc, które zajmują znaczną część każdego dnia, a wydają się być pozbawione swojej dostatecznej i ośmielę się także napisać doskonałej reprezentacji w literaturze. Choć skłamałabym zapominając o „Szczelinach istnienia” Jolanty Brach-Czainy czy „Jak pokochać centra handlowe?” Natalii Fiedorczuk. Mowa bowiem o tym wszystkim z czego utkana jest codzienność zwykłego człowieka, co tak zasadniczo oczywiste, językiem filozofii powiedzielibyśmy pewnie trywialne, a jednocześnie to życie na swój sposób „zbierające” i przez ucierane wspólnie szlaki neuronalne czyniące naszym.

A co to jest to wszystko? Ernaux skupia swoją uwagę na supermarketach, dworcach kolejowych, autobusach, kolejkach podmiejskich, księgarniach, kawiarniach, kinach, autostradach, alejkach, ulicach. Po co to robi? Moim zdaniem, przede wszystkim po to, by ukazać wagę i znaczenie (to bardzo ważny element w jej pisarstwie – poszukiwanie znaczenia) przestrzeni współdzielonych, tych które gromadzą nas, ludzi, wychodzących z domu każdego dnia, by „pozałatwić sprawę”, ale także po to, by przyczynić się do długotrwałego procesu, który wielkodusznie i może trochę na wyrost nazwałabym „udomawianiem świata”. Czynieniem swoim, a zarazem naszym świata zewnętrznego, świata znajdującego się poza bezpiecznymi, lub tylko za takie uchodzącymi, murami czy ścianami mieszkań oraz domów. Często także świata zewnętrznego, pojmowanego jako przestrzeń ludzi będących „na zewnątrz”, swoistych outsiderów. Pragnę przyznać, że dawno już nie miałam w swoich rękach książki, która tak wiele miejsca oddałaby tym wszystkim, których na co dzień zdajemy się nie widzieć – śpiącym w przejściach podziemnych i na ławkach w parkach, Cyganom i małym dzieciom wyciągającym ręce po pieniądze, żebrakom, włóczęgom, prostytutkom, bezdomnym, bezrobotnym, ludziom w jakimś calu niedomagającym.

Annie Ernaux – z ludu wybrana do ludu posłana?

Innej frazy, lepiej pasującej i oddającej to, w kogo zamienia się Ernaux na kartach *Życia zewnętrznego* znaleźć nie mogę. By dobitniej to jeszcze wyrazić dodam, że ostatnio tę książkę na półce w Empiku widziałam tuż obok „Powrotu do Reims” Didiera Eribona, a to Autor jak wiemy, bardzo zasłużony dla francuskiej lewicy i pytania o lud, awans społeczny, pamięć o tym skąd się wyszło. Choć w polskim kontekście fraza o ludziach z ludu wybranych i do ludu posłanych odnosi się do

kapłanów, a ja sama pierwszy raz natrafiłam na nią czytając książkę Ludmiły Grygiel o słudze bożym, biskupie Janie Pietraszce, to dla córki narodu francuskiego ta fraza nie powinna być niczym dziwnym. Odnoszę bowiem wrażenie, że książka ta właśnie za sprawą estymy i uwagi jaką darzy „ludzi z ludu”, prostotę i codzienność, wszystkie te „małe, wielkie sprawy”, winna być czytana niezależnie od przekonań, stanowisk, zasobności portfela, wieku, wykonywanego zawodu, sympatii, antypatii. Stara się bowiem zejść na poziom swoistych cząstek elementarnych, posługując się tytułem książki innego syna francuskiego narodu, Michaela Houellbecqua i wybadać te wszystkie miejsca spotkań, zachowania w przestrzeni publicznej, ukryte, choć ujawniające się z mocą w chwilach próby gesty, ukradkowe spojrzenia, oceny, wyrażone, bądź zachowane tylko dla siebie myśli, tak o sobie jak i o innych. Z tego względu myślę, że książkę tę można jak najbardziej nazwać sensotwórczą i wspólnototwórczą, gdyż pozwala uchwycić te jednoczące aspekty ludzkiej egzystencji, widziane gołym okiem przez pisarkę, która patrzy, słucha, notuje i wszystkim tym się z nami dzieli.

To zaprasza, a może nawet każe zwrócić uwagę na formę w jakiej to wrodzenie wzrokiem po stronach się odbywa. W chyba możliwie najbardziej najintymniejszej i jednocześnie znormatywizowanej, gdyż chodzi tu o formę pamiętnika, codziennych wspominek, niekiedy dłuższych, niekiedy krótszych, które obejmują swoją uwagę zwykłych ludzi. Wchodzącą do sklepu Auchan z walizką młodą dziewczynę, starsze małżeństwo odrywające czekie przy kasie, by zapłacić nimi za zakupy, któremu towarzyszy opis całego tego rytuału, rozmowę z ochroniarzem, który nakrywa Ernaux na robieniu zdjęć, co jest zabronione zgodnie z obowiązującym w sklepie regulaminem. Autorka nic sobie jednak z tego nie robi, jak odnotowała, „nie chce tracić statusu zwykłej klientki” i nie zgłasza się po pozwolenie do dyrekcji, skrawek buntu widać także wtedy, gdy odmawia zapakowania gazet z

innego sklepu do specjalnej plastikowej i przezroczystej torby, by nie zostać posądzoną o przywłaszczenie mienia. Tłumaczy się jej wadliwym działaniem i kolejkami, a poza tym dla niej to już oczywiste, że w Auchan nie znajdziesz *Le Monde* z dnia następnego, po który musisz pójść do sklepiku znajdującego się na innym poziomie centrum handlowego.

Nie mogę przy tym pominąć bardzo ciekawej uwagi o strachu, który uwewnętrzniają galerie handlowe i miejsca zakupów. Obierająca za swoją perspektywę ludu Ernaux, zastanawia się przez chwilę, „A co, by było gdybyśmy się wszyscy rzucili na te słodyczne, poczęstowali herbatnikami, weszli w sojusz ze strażnikami? Was jest tylko kilkoro, nas cały zastęp”. To oczywiście jedynie lotna, choć może wizjonerska perspektywa na przyszłość (już słyszę za uchem głosy oburzonych jurystów), jednak na płaszczyźnie socjologii języka, psychologii i filozofii pozwala wyrazić obecny stan ducha zbiorowego my, „jesteśmy wspólnotą pragnień, nie działania”.

Jeszcze parę słów o czasie, bo choć na tę książkę składają się zapiski z lat 80. i 90. ubiegłego stulecia, to jest ona zaskakująco aktualna i współczesna, poddaje opisowi nasze wspólne czasy, a są to czasy przeorane przez technologię, kolonizujące świat życia maszyny, które najdobitniej wyrażają się w kasach samoobsługowych sklepów wielkopowierzchniowych. Oddające nam trochę czasu, usprawniające proces kasowania, a jednocześnie pracujące na pojęciach – odtąd to one są „mądre”, gdy się pomylimy, my zaś „głupi”.

Wspomniałam o procesie kolonizacji świata życia przez technologię – to oczywiście nawiązanie do filozofii sfery publicznej, którą opracowywał Habermas i może to także najmocniej mnie do tej książki przyciągnęło, biorąc pod uwagę wcześniejsze zainteresowania i poszukiwania naukowe. Ten filozof bardzo ochoczo poszukiwał początków swej dyskursywnej teorii prawdy w kulturze mieszczańskiej Niemiec i Wielkiej Brytanii, tym wszystkim co dzieje się we wnętrzach przestrzeni wspólnych takich jak kawiarnie, stadiony piłkarskie, puby, uniwersytety. Wybaczcie kolejność. To ucieranie stanowisk, argumentowanie, niekiedy liche w swych podstawach, ale właśnie ludzkie. Ludzkie, arcyłudzkie.

A jeśli mowa o stanowiskach, przestrzeniach wspólnych i gromadzeniu się, to na uwagę zasługuje jeszcze jedna kwestia – fakt, że to książka pisana przez kobietę. Żyjemy w kulturze, która opozycyjne pojęcia wewnątrz-na zewnątrz zwykła przyporządkowywać płciowo. To, co wewnętrzne, to kobiece, to co zewnętrzne jawi się jako domena męska. Ma to związek z filozofią ciała, ludzką seksualnością uchwytywaną na poziomie czysto biologicznym. Książek w tym temacie powstało całe mnóstwo, choć myślę, że wcale nie trzeba po nie sięgać, by sięgnąć myślą do tych intuicji posługując się własną zdolnością oglądu rzeczywistości. Ta binarność rodzi jednak cały szereg niepokojących konsekwencji, sztucznych podziałów, a także godzi w coś, co nazwałabym duchową zdolnością człowieka jaką jest znoszenie wszelkich różnic i czynienie świata jednym. Tak po prostu. Tym bardziej mnie cieszy, że książkę o życiu zewnętrznym, właśnie tym męskim napisała kobieta, do której zdolności i kompetencji intelektualnych nikt chyba nie jest skłonny się przyczepić. Wszak mówimy o noblistce, autorce wielu wspaniałych książek, literaturoznawczyni, tłumaczce, wreszcie, tak po prostu odważnej

kobiecie, choć jestem świadoma, że to, co o odwadze świadczy niekoniecznie każdemu musi się spodobać. Jak na przykład fragment, gdy komentarz do wzrostu cen życia Ernaux opisuje sięgając po jednym tchem wyliczane zestawienie: batonik karmelowy, pierwsza pensja, nielegalna aborcja. Znamieniem tego sposobu oglądu rzeczywistości jest zacieranie różnicy. Tu nie ma wyżej i niżej, choć pewien klasowy dystans względem ludzi gorzej usytuowanych od siebie daje o sobie znać, gdy z podniosłą dumą Ernaux oznajmia, że obok niepełnosprawnego w metrze proszącego o datki, przeszła beznamiętnie. Kilka takich zawahań widzę także, gdy Ernaux waha się nad sposobem traktowania ludzi ginących w strefie ogarniętej konfliktem zbrojnym w byłej Jugosławii, pisząc, że lepiej od ludzi traktujemy zwierzęta. Można więc sarkastycznie przyznać, że ktoś tu nie odrobił lekcji z konsekwencji w myśleniu o równości w całym stworzeniu albo po prostu uznać to za znamię charakterystycznej dla literackiej kultury Paryża i jego okolic tendencji do snobizmu. Tak czy inaczej, chciałabym podkreślić, że niezwykle warto tę książkę wziąć w dłonie. Może właśnie szczególnie teraz, gdy rozpoczynają się wakacje i pojawia się nieco więcej czasu, który – obyśmy – spędzali na zewnątrz. Ja ze smutkiem odnotowałam fakt, że aby napisać ten tekst po raz pierwszy od trzech tygodni sięgnęłam po komputer. Choć tyle, że usiadłam z nim na zewnątrz. Łapiąc może nie promienie słońca, ale wiatr. Od zawsze symbolizował wolność, może zatem wyprowadzi ku przestrzeniom autentycznie wspólnym i wolnym od destrukcyjnego wpływu technologii?

Agnieszka Tarnowska